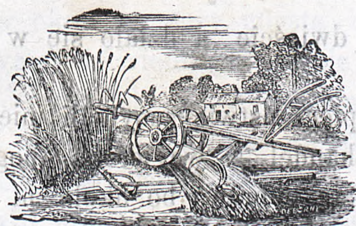
Tom I. 21. Kwietnia 1870. Nr. 12.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Alleluja!

Alleluja! Okrzyk ten brzmi w całym kraju;
W każdej chacie polskiej po dawnym zwyczaju
Z weselem, miłością i sercem skruszonem
Wszyscy dzisiaj dzielą się jajem święconem.

Więc i Dzwonek spieszy dziś pod wasze strzechy
Z życzeniem pokoju, szczęścia i pociechy.
Z rodziną, czeladką w jednem siądźmy kole
I wpośród uciechy przy święconym stole.

Wspomnijmy o braciach, co jęczą w jasyrze,
Moskiewskiej dziczy i tych, co na Sybirze
Wśród lodu i pustyń zdala od rodziny
Szlą łzę, westchnienie do polskiej krainy.

I w dzień ten radośny prośmy niebios Pana,
Co dzisiaj zgruchotał dziką moc szatana,
By znowu na Polskę zwrócił wzrok łaskawy
I wrócił jej czasy potęgi i sławy!

S....

Lwów 17 kwietnia.

O bohaterskim czynie Sandeczanów.

Byłoto lat temu dwieście a działo się w ojczyźnie naszej Polsce.

W spokoju i bezpieczeństwie zasypiali mieszczanie sandeccy w swém mieście; handel z węgierską pograniczną krainą i rzemiosło opłacało się dobrze, bo okoliczni panowie szlachta często zajeżdżali do starego grodu, aby tam zaopatrzyć się w rozmaite towary, których na wsi dostać nie można. Górale z Nowego Targu pokazywali się też często na rynku przynosząc kosze plecione, kwiczoły i inne rzeczy, które można było nabywać i dalej spieniężać; szło tedy jakoś mieszczanom sandeckim, bo przy pracy i uczciwości można uzbierać sobie nieco zapasowego grosiwa.

Mówili wprawdzie ludzie od niejakiego czasu o wielkiej wojnie daleko na wschodzie, którą Polacy z Kozactwem i Tatarstwem prowadzili. Nieraz widziano jakiegoś rycerza, który z szablą przy boku, na dzielnym koniu i z długą dzidą w ręku spieszył w dalekie okolice, aby się bić z wrogiem. Ale tyle było wszystkiego; jak świat światem nie widzieli Sandeczanie pod swojemi murami żadnego nieprzyjaciela, bo mieszkali zdala od tych stron, któremi wrogowie Polskę najeżdżali. Dlatego też i teraz nie obawiali się niczego, ponieważ król węgierski, od którego ziemi nie wiele byli oddaleni, z królem polskim stateczną przyjaźń chował.

Jakoś niedługo po nowym roku 1655 zaczęła obiegać wieść, że nieprzyjaciele jacyś przedtem nieznani, z za morza pochodzący, naszli polską krainę wojną i spustoszeniem. Raz opowiadali ludzie, że jakiś potężny król pokonał wojsko polskie, które mu przejście tamowało, później słyszano na jarmarku, że już wielkie i sławne miasto Warszawa najezdnikom się poddało, a za kilka tygodni donosili podróżni straszniejsze jeszcze rzeczy; mówili, że król nasz Jan Kazimierz uszedł z kraju, a liczni nieprzyjaciele, co się Szwedami zowią, zdobyli już Kraków i prostą drogą idą ku Sączowi.

Dopieroż to powstał płacz i strach w całem mieście. Co chwila ma nadciągnąć potężny nieprzyjaciel, który będzie

rabował i ciemiężył, a tu niema znikąd żadnego ratunku. Wojska nie było w okolicy, mury miasta były słabe a broni między mieszczaństwem nie wiele, zwyczajnie jak między ludźmi nie znających zawodu rycerskiego. A zresztą komu przyszłaby chętka bronić się przeciw takiemu nieprzyjacielowi, przed którym sam król Jegomość ustąpić musiał.

To też postanowili mieszczanie pokornie i uniżenie zachować się przeciw wrogom, aby sobie uległością na miłosierdzie zasłużyć. Skoro usłyszeli w mieście, że Szwedzi nadchodzą, wyszli panowie radni z panem burmistrzem na czele, który niósł klucze miejskie w rękach, przed bramy i stali z pokorą czekając na przybycie niemiłych gości. Niejednemu krew zakipiała w żyłach, nie jeden zaciskał pięści ze złości, ale i najodważniejszemu oddechu zabrakło, gdy z pośród tumanów kurzu wynurzyło się wojsko szwedzkie.

Ciekawy to był widok; szwedzcy rajtary siedzieli na tęgich koniach poubierani w czerwone, niebieskie i zielone kurtki, na piersiach błyszczały blachy, które miały zasłonić wojownika od pchnięć, a przy czapkach unosiły się kity z piór różnobarwnych. Piechota miała ogromne halabardy i ciężkie strzelby, których ogień w bitwie roznosił śmierć i zniszczenie. Za pieszakami następywały działa, straszne już z samego widoku, o których opowiadano, że w kilku minutach całe mury rozwalać mogą.

Dumnie spojrzał wódz szwedzki po wystraszonych rajcach Sącza, ale chcąc się okazać łaskawym, powiedział, że miastu nic się złego nie stanie, byle tylko było posłuszne i żołnierzom jego żywności dostarczało. Mieszczanie pokłonili się do kolan i wprowadzili cały pochód do miasta.

Ciężka zaczęła się teraz dola dla biednych Sandeczanów. Żołnierze szwedzcy nie palili wprawdzie i nie rabowali tak, jak to rozpowiadano o Tatarach, ale mimo to dawali się coraz bardziej w znaki biednym ludziom. Z każdym dniem rósł ich apetyt, coraz więcej żądali mąki i krup, mięsa i sloniny, a po niejakim czasie zaczęli się także dobierać do składów skór, sukien i płócien. Jaki taki wydał już wszystką gotówkę, którą wziął w posagu za żoną, sprzedał warsztat lub bydło,

a tu coraz nowe wymysły; o zarobek było trudniej niż zwykle, bo od czasu przybycia Szwedów ani pan ani chłop do miasta nie zagościł; wszystko chowało się w mysie jamy.

Udawali się wprawdzie mieszczanie do komendantów szwedzkich z prośbami o ulgę w niedoli, ale jak się można było spodziewać, nic nie zyskali prócz groźb, że jeszcze będzie gorzej, gdy się będą naprzykrzali. Szwedzi bowiem rozgościwszy się w mieście mieli wszystko w swojej mocy, zaufani w swoich armatach i strzelbach. To też nie bojąc się nikogo dopuszczali się rozmaitych niesprawiedliwości nad biednymi ludźmi, ledwo ich za boże stworzenia uważając. Jaki taki chciał uciekać z rodzinnego miasta, het daleko za góry niedostępne, ale Szwed nie pozwalał wydalić się z miasta obsadziwszy żołnierzem wszystkie bramy. Zresztą trudnoć przychodzi człowiekowi rozstać się z temi miejscami, gdzie przebył cały swój wiek od lat dziecinnych.

Wszystko jednak na świecie ma swój koniec; więc też i cierpliwość Sandeczanów nie mogła trwać bardzo długo, tem bardziej, że wrogowie niesprawiedliwością i gwałtami coraz bardziej drażnili naigrawając się nawet z kościelnych obrzędów jako ludzie innej wiary. Nie mogąc uskarżać się głośno schodzili się mieszczanie po domach nieco obszerniejszych rozpowiadając sobie wzajemnie to, co codziennie widzieli. Przy kuflu miodu starego, w kółku zaufanych przyjaciół, przy drzwiach szczelnie zamkniętych rozprawiano wiele o wrogu, a jaki taki zmarszczył groźnie brwi i powiedział: Alboż my nie Polacy? Nie mamy zdrowych rąk? Pokażemy, co umiemy i wyrzucimy to plugastwo z naszych murów.

— Próżne słowa — odpowiadali starsi i spokojniejsi; — cóż zrobimy sami, bezbronni. Szwedzi wymordują nas i spalą nasze miasto.

Tak mówili nieraz między sobą mieszczanie, bo z jednej strony coraz gorzej dokuczali Szwedzi, z drugiej strony strach przed strzelbami i berdyszami miał wielkie oczy.

Jeden wypadek dodał serca Sandeczanom. Oto Szwedzi chcąc wsie pobliskie rabować wysyłali z miasta oddziały swego

wojska na wyprawy rozbójnicze. Mocno dokuczali rajtary, biednym mieszkańcom, ale nie uszło im to na sucho. Bo z góralami, którzy górskie okolice Polski zamieszkują, to nie przelewki; chłopy to silni jak dęby i wprawni czy to do kosy, czy do toporka. To też dostało się Szwedom, co się tam po górach wałęsali, co niemiara, tak, że kilku zabitych i kilkunastu rannych do miasta przywieźli. Patrzali się podziwem zdjęci na to ludzie i jaki taki pomyślał, że nie taki djabeł straszny, jak go malują. Jeżeli potrafili górale to i nam udać się może. Zaczęto przebąkiwać z początku cicho, potem głośniej czyby się nie dało Szwedom kurtę skroić. Rozprawiano o tem przy kuflu, aż nareszcie stanęło na tem między starszymi, że trzeba Szwedów z miasta wyrzucić.

Nie wiele zachodu było potrzeba, aby wszystkich mieszkańców do walki nakłonić, bo niesprawiedliwości i gwałty wszystkich do oporu pobudzały. Wszystko, co żyło, młodsi i starsi przygotowywali drągi, topory, i inne narzędzia; z rozmaitych kryjówek zaczęto wyciągać strzelby stare, które udało się mieszczanom ukryć przed wrogiem. Szwedzi ani się spodziewali, co się w mieście święci; myśleli sobie, że nikt na taką rzecz by się nie odważył, a zresztą nie mogli dobrze miasto nadzorować, bo wieśniacy z pobliskich siół spokoju im nie dawali. Co chwila wysyłali zatem na wycieczkę oddziały wojska, przezco ich siły znacznie się zmniejszały.

Jednej nocy wyszli oni w większej niż zwykle liczbie z miasta i ustawili się na stanowisku, gdzie według ich wiadomości górale i szlachta okoliczna zgromadzić się mieli. Czekali tam Szwedzi długo, patrzali na wszystkie strony, aż ledwo oczy nie wypatrzali, a tymczasem nic nie ujrzeli. Tacy sławni wodzowie szwedzcy dali się uwieść mieszczanom, którzy umyślnie pogłoskę tę puścili, by wrogów w pole wyprowadzić. Tymczasem w mieście wcale inne przygotowywały się rzeczy.

Gdy się już dobrze zmierzchało, poczęli mieszczanie schodzić się na rozmaitych miejscach; około północy wyszli z kryjówek i rozbiegli się po rozmaitych okolicach miasta, aby Szwedów znienacka zaskoczyć. Ciemność nocy posłużyła

im; wkrótce wielka część żołnierzy i oficerów została albo do niewoli wziętą albo, gdy się bronili, zakłutą. Ze snu przebudzeni Szwedzi z trudnością tylko bronić się mogli; zanim się większa ich liczba zgromadziła już pokonali ich Sandeczanie, którym obawa przed zemstą odwagi dodawała. Szwedzi zagrożeni składali się i prosili o przebaczenie, niepomni na to, jak przed kilkoma dniami zbytkowali się nad ich żonami i dziećmi.

Tak to zawsze się dzieje; kto nie szanuje innych ale owszem jeszcze źle się z innymi obchodzi, sam doświadcza na sobie przykrej kary.

Szwedzi, którzy byli wyszli z miasta nie mieli już po co wracać, bo mieszczanie uporawszy się z tymi, którzy byli pozostali, obsadzili bramy miasta i nikogo wpuścić nie chcieli. Opatrzeni bronią odebraną wrogom mogli teraz swobodnie przechadzać się po mieście, które własnem męztwem od niewoli uwolnili.

Pamięć tego zdarzenia przechowywała się długo w okolicach podkarpackich. Rodzice opowiadali to swoim dzieciom i wnukom i tak powieść ta doszła aż do naszych czasów.

Franek z Starejsoli.

Rycerze spiący

Baśń góralska z pod Babiej góry.

Pod lasem mieszkał ubogi kowal żywiąc liczną rodzinę garstką lichego owsa, co wśród kamieni rósł na małej w borze polanie — aliści pewnego razu przyjedzie na siwym koniu, w żelazo okuty rycerz. Rycerz w tych stronach! to widmo, nie człowiek, pomyślał przestraszony góral. Przecież zbrojny zsiadłszy z konia Bogiem powitał kowala, a ludzkim rzekł do niego głosem, by mu za dobą przygotował podkowy do okucia tysiąca koni.

— Zkąd tu żelaza na tyle podków, ani doba starczy choćby djabeł młotem kierował.

— Sprzedaj co z dobytku, i kup żelaza, rzekł rycerz, w imię Boże weź się do roboty, a skończysz, jutro wieczorem po podkowy przybędę.

Zbrojny odjechał, a kowal długo się z żoną namyślał nim zawiódł do miasteczka krowę i konia, by za nie nabyć żelaza. Ledwo się wziął do roboty po powrocie, aliści niby cudem już całe podkowy same z pod młota wybiegały. Gdy ostatnia z naznaczonej liczby była gotową przybył i rycerz.

Dobrze już było ciemno, nim kowal spakował robotę, aby się udać na miejsce, gdzie obozowała drożyna konnych, O północy przywiódł zbrojny zdumionego kowala pod skałę w Babiej górze; tam za trzykrotnem uderzeniem pałasza, głazy się rozwarły a rycerz wprowadził go w podziemię, gdzie tysiąc żołnierzy z siwemi po pas brodami spało na uszykowanych w hufiec koniach.

— Kujże teraz mój człowieku, rzekł zbrojny do kowala, ale pomnij, byś żadnego nie zbudził.

Wziął się drżący góral do roboty i jakby co czarowało, migiem wszystkie założył podkowy. Gdy ostatni gwóźdź, przybijał, trącił ze strachu w szablę zbrojnego i przebudził śpiącego starca.

Ockniony rycerz wielkim głosem zawołał ku owemu, co przywiódł kowala.

— Mistrzu! czy już czas?

— Nie! odrzekł zgniewany rycerz.

Starzec znowu zasnął.

— Teraz ty biedaku żeś mi przebudził towarzysza, rzekł tamten, tylko ostrużyny rogu zbieraj sobie za zapłatę.

Kowal począł płakać i żale zawodzić ale nie było rady; zebrał kawałki rogu a dziękując jeszcze Bogu, że wyszedł cało, umykał do domu. Jedzie i jedzie, dom daleko a koń ustaje, worek coraz to cięższy. Wreszcie i dnieć poczęło patrzy aż tu obrzynki kopyt w złoto się zamieniły. Biedny góral panem wrócił do domu.

Stanisław Krakowczyk.

O wyrobie cukru z trzciny cukrowej i buraków.

(Dokończenie)

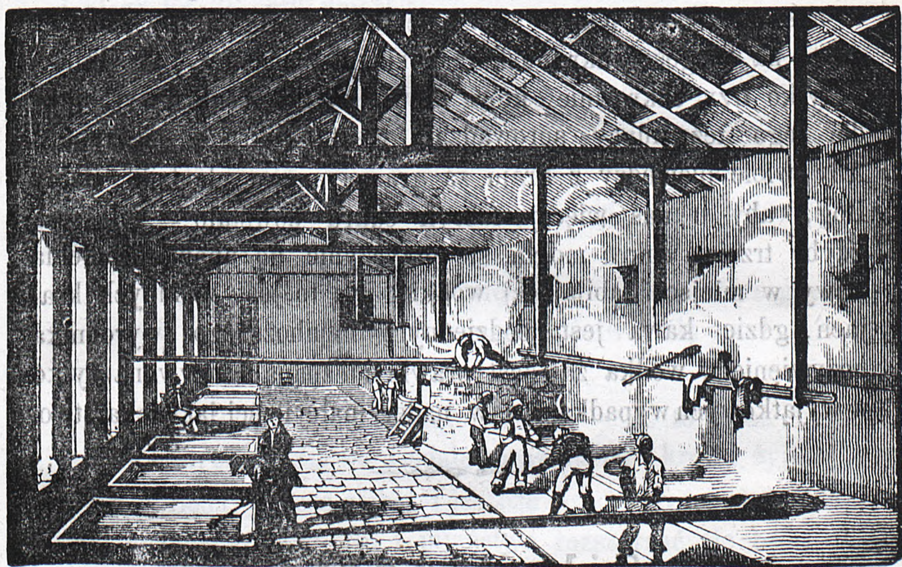
Opowiadaliśmy wam mili czytelnicy w przeszłym numerze o uprawie i zbiorze trzciny cukrowej. Dzisiaj podajemy wam znowu dwie ryciny, z których jedna przedstawia młyn do wyciskania soku, a druga warzelnię. Wspomnieliśmy tamtym razem, że porąbane kawały trzciny odwożą do młyna. Otóż właśnie jest ten młyn. Paki z trzciną leżą wokoło, a już oto sześć wołów nowy wóz z trzciną przyciągły. Murzyni co żywo chwytają przywiezione paki i niosą do młyna. Jak jest młyn urządzony, jakie tam są maszyny do wyciskania soku służące, tego wam opisywać nie będę, bo prędzejbym znudził, niżbym was czego mógł nauczyć Dość będzie, gdy sobie



Młyn do wyciskania soku.

spamiętacie, że w tym młynie sok wyciskają. Sok zlewają potem w kotły i ogrzewają na wielkim ogniu; ażeby zaś nie skwaśniał, co się łatwo i często zdarza, dodają do niego niegaszonego wapna rozrobionego na mleko. Gdy już sok jest mocno ogrzany, zlewa się rynwami do innych kotłów, stosownie urządzonych, w których powoli i stopniowo stygnie, przyczem gęstnieje, tak, że gdy go palcem dotkniemy, ciągną się od

palca nitki. Tymczasem opodal przygotowują już wielkie płytkie naczynia drewniane, w których sok ma stygnąć do reszty. Do tych to naczyń wlewa się sok z kotłów. Po niejakim czasie stygnie on tu do reszty i zamienia się w miękkie grudki cukru. Grudki te wsypują się do beczek tak urządzonych, że jeszcze reszta wilgotnego soku może na spód ściekać, na wierzchu zaś zostaje suchy cukier, który się nazywa surowym, a surowym dla tego, ponieważ choć już przez tyle rąk przechodził, jeszcze nie mało potrzebuje pracy, aby się stał takim, jak być powinien. Mianowicie jest to dopiero mączka żółtawa, którą potrzeba oczyścić do białości i zamienić w bryły wielkie zwane głowami. To dzieje się w osobnych zakładach zwanych rafineryami i dlatego też cukier, który mamy w sklepach nie nazywa się już cukrem surowym lecz rafinowanym.



Warzelnia.

Wyciskanie soku z buraków nie tak się odbywa, jak wyciskanie soku z trzciny cukrowej. Przedewszystkiem potrzeba wam wiedzieć, że nie wszystkie buraki zdatne są do wyrobu cukru. Najlepsze do tego celu są buraki białe, ale i te nie zawierają w sobie tyle cukru, co trzcina cukrowa. Z tem wszystkiem cukier z buraków równie jest słodki jak cukier z trzciny.

Buraki dowiezione do cukrowni obcinają się najprzód starannie ze wszystkich wyrostków liścia, co się nazywa ogłowieniem. Po ogłowieniu płuczą się buraki w wodzie, a następnie trzeba je trzeć na tarkach. Powstaje ztąd miazga, z której zapomocą pras wyciskają sok cukrowy. Z tym sokiem postępuje się mniej więcej podobnie jak z sokiem trzciny cukrowej, aż znowu otrzymuje się z niego mączkę cukrową, z której w rafineryach wyrabiają głowy cukru.

Był niegdyś czas, że w kraju naszym, gdzie dzisiaj cukier tak jest upowszechniony, że w każdem najmniejszem miasteczku, nieledwie w każdej wiejskiej karczmie dostać go można, był wcale nie znany, i pojawiał się tylko na stole królewskim. Do czego dzisiaj używamy cukru, używano niegdyś miodu. Teraz miodu mamy mało, bo pszczelnictwo u nas upadło i ledwie gdzieniegdzie dźwigać się zaczyna, za to na drogość cukru uskarżać się nie możemy. W Galicyi są tylko trzy cukrownie, które niewielką ilość cukru wyrabiają. dla tego też kupcy sprowadzają resztę cukru z zagranicy. Aby wiele pieniędzy z kraju za granicę nie wychodziło, dałby Bóg, aby u nas więcej fabryk cukru powstało, zwłaszcza gdyby trzcina cukru mogła się przyczynić do upowszechnienia kawy w miejsce zabijającej wódki, jak to jest w innych krajach, gdzie kawa jest codziennym najuboższego wyrobnika pożywieniem, wódka zaś jest prawie nieznana i używana tylko w wyjątkowych wypadkach i w nader małej ilości jako lekarstwo.

Silni ludzie.

(Dokończenie)

Stanisław Ciołek wojewodzic mazowiecki nadzwyczajną miał siłę, nad niego nie było podobno silniejszego. Skręcał miecze, łamał podwójne podkowy, targał grube powrozy, a we wsi swojej Ostrołęce dźwignął sam drzewo, którego dwudziestu ludzi ruszyć nie mogło, i zaniósł je do młyna. Dwanaście szabel ująwszy za końce podnosił jedną ręką z ziemi,

a gdy ścisnął surowe drzewo, sok z niego wyciskał. Będąc w Krakowie, wyciągnął na wieżę przy kościele Panny Maryi dzwon wielki, którego nie podniosło czterdziestu ludzi. Pieniądze miedziane lub srebrne łamał dwoma palcami. Stawał często w kole szablą oznaczonym i kazał się dwunastu ludziom ciągnąć za pomocą sznurów, lecz go ruszyć nie mogli, on zaś szarpnąwszy pozrywał powrozy i powywracał ludzi. Raz był z Kazimierzem Wielkim w Pradze. Próbował się tam z sławnym z swej siły człowiekiem, lecz gdy go przycisnął do ściany, natychmiast wyzionął ducha. W 16 wieku żył w łasach Świętokrzyskich sławny gajowy nazwiskiem Babań. Porastał on na całem ciele a szczególnie na piersiach i plecach. Husarza z koniem zbrojnego przewracał, drzewa 10 i 15 letnie wyrywał z korzeniami a kogo tknął palcem, musiał się wywrócić. Miał dopiero lat 36, gdy umarł.

Bywały także i kobiety, które się odznaczały siłą. Jedna ująwszy za pasy dwóch panów, naraz ich oknem wyrzuciła do ogrodu.

— A jak widzę, to wy macie pamięć nielada mój Grzegorzu! — powiedział Wątroba — kiedy sobie spamiętacie tyle nazwisk.

— Jabym wam wymienił i więcej — odrzekł Grzegorz — bo takich silnych ludzi było u nas mnóstwo, ale na to nie ma czasu.

— Mój Boże! — westchnął Wiarus — że to teraz nie ma takich silnych ludzi! — Ludzie coraz słabsi i krócej żyją....

— Będą jeszcze słabsi i jeszcze krócej żyć będą — odparł Grzegorz — jeżeli zbytki i pijaństwo rozszerzać się będą dalej. Aby podtrzymać zdrowie i siły, uczą się teraz różnych ćwiczeń ciała, co się gimnastyką zowie. Bardzo to piękna i pożyteczna nauka, ale nie wiele ona pomoże, jeżeli kto nie żyje trzeźwo i umiarkowanie a przytem nic nie pracuje. Praca głównie rozwija i zwiększa siły.

Pracujmy i żyjmy inaczej zapatrując się na przodków naszych, którzy dostarczyli nam takich przykładów siły, o jakich wam tu mówiłem.

Prawdę mówicie, kochany Grzegorzu! — zawołali gospodarze i rozmyślając nad słowami Grzegorza rozeszli się do domów, bo już późno było wieczór.

Ja zaś podaję wam tę gawędkę w całości, abyście i wy wiedzieli, co Grzegórz opowiadał.

Józef z Bochni.

ŚMIGUST.

Drugi dzień świąt Wielkanocy zazwyczaj bywa obchodzony wesoło z żartami, swawolą i pustemi figlami, t. j. oblewaniem wodą. Chłopcy nie żałują wody i oblewają nią dziewczęta, a dziewczęta także odwzajemniają się chłopcom, jednakże jako słabsze zawsze przytem więcej ucierpią. Obyczaj ten przyjęty u nas od niepamiętnych czasów obchodzony bywa wszędzie tak w miastach jak po wsiach, jak u włościan tak i między panami. Chłopcy na wsi nieraz przybierają miarkę w tych figlach i zlewają bez miary konewkami a często do rzek lub stawu wrzucają dziewczęta Jednakże tej ostatniej psoty pochwalać nie można, należy ją owszem jak najmocniej zganić, bo częstokroć z tego wyniknąć może ciężka choroba, jak n. p febra.

We wsi Dąbrowie mieszkał wielce szanowany Stanisław Skiba, który chociaż syn włościański bardzo był uczony i oczytany, pokończył bowiem szkoły i dużo książek czytał. Pochwalał on każdy zwyczaj dawny i z radością przypatrywał się każdemu takiemu obchodowi, jako pamiątce zachowanej po przodkach. Ale gdy widział, że niektórzy nadużywają tego zwyczaju, to ganił i karcił ostrem słowem swawolnych psotników. Otóż gdy zobaczył, że chłopcy porwawszy dziewczynę wrzucili ją do stawu, rzekł do nich:

— Hola chłopcy, tak się nie godzi robić i nie powinno się nadużywać tego obyczaju.

— Kiedy oblać, to już porządnie, odezwał się jeden z wesołych chłopców.

— Moi kochani, ten obyczaj nie pochodzi od topienia ludzi. Dla tego nie powinno się nikogo rzucać do stawu, tylko oblewać.

— A zkąd to pochodzi ten obyczaj? zapytał jeden z ciekawych.

Skiba rzekł na to

— Obyczaj ten oblewania wodą w drugie święto Wielkanocy od bardzo, bardzo dawnych czasów pochodzi i dwojaki zdaje się mieć początek. Najprzód z tego, że w Jerozolimie, gdy Pan Jezus zmartwychwstał, chrześcijanie schodzili się i o zmartwychwstaniu rozmawiali, żydzi dla rozpędzenia gromady chrześcian oblewali ich z okien wodą. Powtóre także ztąd prawdopodobny początek tego obyczaju, że gdy u nas w Polsce a szczególniej w Litwie wprowadzono świętą wiarę, księża nie mogli od razu tak wielkiej liczby ludu ochrzcić w kościele lub też w domu, więc obrzęd ten odbywał się przy rzece. Poświęciwszy wodę w rzece księża obficie skrapiali nią licznie zgromadzone tłumy narodu. A trzeba wam wiedzieć, że wtedy chrzczono nietylko małe dzieci, ale dorosłych i starych którzy porzucali wiarę pogańską.

— A dla czegóż ten obyczaj śmigustem nazywają? zapytał rozciekawiony Sobuś.

— Śmigust czyli Śmigurst, albo dyngus, znaczy podarek, który w drugie święto Wielkanocne dają — mówił Stanisław Skiba. — Podług dawnego obyczaju w poniedziałek wielkanocny chłopcy oblewali dziewczęta, we wtorek zaś i dnie następne dziewczęta chłopców. Śmigust czyli podarek wielkanocny był więc wykupem, t. j. kto nie chciał być oblanym musiał się wykupić jakim datkiem. Podług starożytnego obyczaju dziewczęta niosąc przed sobą wierzchołek sośniny przystrojony różnemi błyskotkami, wchodziły do domów, spiewały stósowne piosenki i zbierały podarki. Chłopcy zaś chodzili z kogutkiem i pokazywali rozmaite figle i sztuki, a po uczęstowaniu ich, kompanie się łączyły i razem wszyscy się bawili lub tańczyli. Gdzie niegdzie chodziły także po wykupnie czyli po śmiguście ubożsi studenci ze szkółek,

i po domach opowiadali z pamięci wiersze o Zmartwychwstaniu Pana Jezusa i dodawali:

A ja tę nowinę do państwa wznoszę
I o wykup proszę.

A zakończając przypomnieniem o podarek spiewali:

Przyszedłem tu po śmiguście
Co mi dacie, w torbę włóżcie.

Dawano im za to kołaczyki, paski, święcone jaja lub też farbowane, które nazywamy pisankami.

— Jak to dobrze wiedzieć — rzekło kilku. Dziękujemy wam za opowiadanie.

— Nie macie za co dziękować, tylko nie wrzucajcie nikogo do wody, bo taka zabawka jest szkodliwą.

— Usłuchamy was, panie Stanisławie, odezwali się chłopcy.

— No to dobrze, rzekł Stanisław Skiba odchodząc i dodał — A przyjdźcie do mnie po Śmiguście, zaspiewacie i zabawicie się trochę, każdemu dam kołacza i pisankę na śmigust.

A my wam, mili czytelnicy na śmigust niesiemy Dzwonek.

Józef z Medyki.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

— Środek zaradzenia złemu, gdy drzewa owocowe wymarzną. Doświadczony sadownik podaje następującą radę: Tegoroczna zima mroźna wymroziła znaczną część drzew owocowych. Przekonałem się, że gruszki, wreszcie śliwki a nawet pomimo starannego ukrycia brzoskwinie i morele w części albo całkowicie wymarzły. Tę zimę można tylko porównać z zimą w roku 1829., w której niemal w całej Europie drzewa owocowe wymarzły. Chcąc choć w części zaradzić tej klęsce, podaję do publicznej wiadomości jedyny środek zalecony i uznany przez sadowników, a którego sam doświadczyłem: Skoro na wiosnę soki zaczną krążyć, należy drzewom zamarzniętym puszczać krew, t. j. przecinać korę ostrym scyzorykiem od góry do samego dołu drzewa. Takich cięć daje się 5. 4. 3.

2 lub jedno, stosownie do grubości i wieku drzewa. To samo zrobić należy i na gałęziach. Należy przecinać także górne gałązki dosyć krótko. Zalecam przytem dłuższą cierpliwość w wycinaniu drzew, które należy zostawić nietknięte do sierpnia.

— Co robić z kartoflami przemarzłemi. Według doświadczeń biegłych gospodarzy, kartofle przemarzłe mogą być użyte na mąkę wyborną równie jak zbożowa. Postępowanie w tym względzie jest bardzo proste. Zmarzłe kartofle składa się w otwartem miejscu, ażeby zupełnie wyschły. Częste marznięcie i odtajanie sprawia oddalenie z nich wilgoci, bo ilekroć kartofle na nowo zamarzną, formuje się między skórką i owocem skorupka lodu, który przy następnem odtajaniu przez rozpadliny skórki wypływa. Tym tedy sposobem osuszone kartofle, gdy oddzielone zostaną od opadających już skórek, przez roztarcie tylko pomienioną dają mąkę. Mieszkańcy Ameryki, zkąd kartofle pochodzą, dają im umyślnie marznąć, potem depcą ich nogami dla złuszczenia skóry, i w worach kładą je potem w wodę bieżącą. Wyjąwszy je ztamtąd po dwóch lub trzech dniach, suszą na słońcu i rozcierając przysposabiają z nich mąkę, której jako bardzo smacznej do wszelkich używają pieczyw.

Złote ziarna.

Myślmy, patrząc na zdrożność czy wielką czy małą —
I nas to mogło spotkać, co innych spotkało.

Nie wie człowiek, co dobre, a często tak zbłądzi,
Że swe szczęście za wielką niefortunę sądzi.

Nie ten mądry, co bogactw dorobił się mnóstwa,
Lecz ten, co je straciwszy, nie czuje ubóstwa.

Rozmaitości.

Zabawna rozmowa. Szedł raz Walek mocno zafrasowany.

— A cóż to ci się stało Walku? — zapytał Franek. Jesteś tak zafrasowany, jak gdybyś siedm wsi podpalił.

A! — odpowiedział Walek — Jak tu się nie frasować, kiedy mój pan chciał mię dzisiaj trzy razy w twarz uderzyć.

— A zkądżeż wiesz o tem, że cię pan twój chciał aż trzy razy w twarz uderzyć.

— Wiem o tem dobrze, bo mię trzy razy uderzył.

— Dlaczegoż więc mówisz, że chciał cię uderzyć, skoro cię uderzył.

— Gdyby był nie chciał, to nie byłby uderzył!

Niezręczna wymówka. Pewien student otrzymał list od wuja. W liście tym znajdowały się pieniądze, za które student ten miał dla wuja książki jakieś pokupić. Ale studentowi potrzeba było pieniędzy, więc książek nie kupił i pieniędzy nie zwrócił. W kilka tygodni spotyka się z swym wujaszkiem na ulicy. Poczerwieniał ogromnie i nie wiedział jak się tłumaczyć, chociaż go wuj o pieniądze i książki jeszcze nie pytał.

— Ach przepraszam kochanego wuja — zawołał — że nie przysłałem dotychczas książek. Ale list, w którym znajdowały się pieniądze zginął na poczcie, więc nie mogłem kupić.

— A zkądże wiesz o pieniądzach i książkach tych — zapytał wuj — skoro list, jak powiadasz zginął na poczcie?

Zmięszał się nieborak mocno, bo zamiast wymówki sam siebie oskarżył.

Swieca cukrowa. Przed czterdziestu laty był namiestnikiem w Warszawie brat cara, Wielki Książę Konstanty. Jak jego bracia i wszyscy zresztą Moskale, tak samo i Wielki Książę Konstanty był srogi i dziki barbarzyńca i okropnie nienawidził Polaków. Każdego Polaka byłby najchętniej utopił w łyżce wody. Otóż ten Moskal zaprosił raz kilku Polaków na ucztę, a chcąc i tu im dokuczyć, kazał na sam koniec uczty przynieść każdemu do zjedzenia jednę świecę łojową. Dla siebie zaś kazał zrobić świecę z cukru, która tak samo wyglądała, jakby łojowa. Przed ucztą cieszył się mocno Wielki Książę, że dokuczy Polakom. Ale dobrze mówi stare przysłowie: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Lokaj pomylił się i zamiast świecy cukrowej dał Księciu łojową. Książę będąc pewnym że ma przed sobą cukier, a przytem chcąc Polaków zachęcić do jedzenia świec łojowych, ukąsił prędko kawał swej świecy i połknął. Natychmiast nie dobrze mu się zrobiło i dostał wymiotów, bo łój był tak brzydki, że nawet moskiewskiemu żołądkowi zaszkodził.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Laskownicki. — Z drukarni E. Winiarza